№ 17. Piątek, dnia 22 Stycznia 1875 roku. Tom I.

OGNISKO DOMOWE

Tygodnik

WARSZAWA dnia 10 (22) stycznia 1875 r.

„OGNISKO DOMOWE" wychodzi w każdy piątek.
CENA PRENUMERATY: w Warszawie: rocznie rs. 4 kop. 50; miesięcznie k. 38.
„ „ na prowincyi i w cesarstwie: rocznie rs. 6; — kwartalnie rs. 1 kop. 50.

REDAKCYA przy ulicy Bielańskiej Nr 8 nowy.

Nasza przedsiębierczość.

(K. J.) Pewien zimny spostrzegacz nazwał nasze plemię „Francuzami północy." — I rzeczywiście zrobił porównanie pod wieloma względami bardzo trafne. — Są bowiem niektóre wybitne cechy Francuzom i nam tylko właściwe. Szkoda tylko, że niewiele posiadamy podobieństwa cech dodatnich, a bardzo wiele ujemnych. Szkoda również, że te cechy ujemne wkorzeniły się w nas tak silnie, tak się niejako zrosły z naszym charakterem, że stanowią z nami jakąś całość nierozdzielną— że wykorzenienie lub zatarcie tych cech jest bardzo trudnem, i dopiero może w odległej przyszłości możebnem.

Jedną właśnie z takich cech ujemnych jest lekkość. Przejmujemy się jakąś myślą, poddajemy się jej zupełnie — w pierwszej chwili gotowiśmy zrobić dla tej myśli wszystko — na drugi dzień zapał nasz stygnie, stajemy się mniej dbałymi, potem jesteśmy obojętni — wreszcie, po niejakim czasie zapominamy o tem, co nas przed kilkoma dniami tak bardzo i tak gorączkowo nawet zajmowało.

Poddajemy się wrażeniom chwili, a zimny spostrzegacz patrząc z boku na nasz gorączkowy zapał, z jakim się niekiedy różnym poświęcamy sprawom, mógłby nas porównać do dzieci, które dostawszy do rąk zabawkę w pierwszej chwili nie wiedzą co z nią robić nie wypuszczają jej z rąk, nie rozstają się ani na chwilę, pieszczą ją, trzymają przy sobie nawet i w chwili spoczynku; a potem rzucą w kąt i nie spojrzą nawet na to, co je tak żywo zajmowało i bawiło: I to jest właśnie wada nam i Francuzom wspólna.

Inaczej zupełnie poczyna sobie Anglik i systematyczny Niemiec. Ci nie unoszą się nigdy, nie braknie im krwi zimnej. Jeżeli im podoba się myśl jaka, nie przejmują się nią tak żywo, przeciwnie traktują ją ostrożnie i jakby z niedowierzaniem, poprzednio obliczą, rozważą, rozpatrzą przedmiot ze wszech stron, zważą wszystkie pro i contra, i dopiero jeżeli zamiar wytrzymuje krytykę, wtenczas przystępują do wykonania. Wykonanie to, idzie również powoli, bez gorączkowego pośpiechu, ale zawsze jednakowo. Trzymają się starej zasady „festina lente" i dobrze na tem wychodzą. Każdy projekt jest przeprowadzony systematycznie, porządnie, i skutkiem tego zwykle doprowadza do zamierzonego celu, i spodziewane owoce przynosi.

U nas dzieje się to w sposób zupełnie odmienny. Rzucona myśl w pierwszej zaraz chwili, bez względu częstokroć na jej wartość znajduje ogromne poparcie. Robi się niepomierny hałas, i patrząc na tych ludzi, którzy przystępują do wykonania zamiaru zdaje się, iż zrobią bardzo wiele.

Tymczasem, gdy gorączka pierwszej chwili przeminie, zapał się studzi powoli...... już myśl owa nikogo nie obchodzi.... już o niej zupełnie zapomniano, i mówią o niej niechętnie.

Nie przesądzimy, iż większa część naszych społecznych zamiarów i przedsięwzięć w podobny sposób utonęła. A ileż było prawdziwie pięknych, pożytecznych i niepoślednią doniosłość mających intencyi. Utonęły prawie wszystkie w falach zapomnienia, rozbiły się jak słaba łódka o stromą skałę apatyi, która po zwykłej naszej następuje gorączce.

Gdyby kto chciał przejrzeć kroniki czasopism krajowych, w których notowane są zwykle wszelkie plany i zamiary dotyczące społecznego życia, mógłby otrzymać ciekawe dane liczebne, z których przekonałby się, że liczba zamiarów niedoszłych, do zamiarów wykonanych, ma się jak 100 do 10.

Ktoby chciał przepatrzeć kartki kroniki krajowej i zastanowić się nad rzeczonym objawem, zauważałby pewną jednostajną formę, według której urabiają się nasze projekty i według której giną.

I tak, ktoś podaje myśl, dajmy na to założenia szkoły rękodzielniczej, lub podobnej instytucyi — myśl tę wygłasza naturalnie za pośrednictwem prasy, która chętnie podobne objawy notuje. Po ukazaniu się jednego artykułu w tej kwestyi, wszystkie pisma podnoszą ją unisono, rozpatrują wszechstronnie, polemizują nawet w tym przedmiocie. Jeden i drugi korespondent, lub wreszcie ktoś nie— literat porywa za pióro, głosi swoje zdanie, oświadcza się z gotowością niesienia kapitałów i pracy, aby je złożyć na ołtarzu społecznego dobra i zdaje się, że już cel prawie osiągnięty. Tymczasem po niejakiej chwili głosy cichną... potem milkną i projekt zostaje projektem na wieki.

Jeżeli zaś, (w ogromnej mniejszości wypadków) znajdą się ludzie energiczni, i korzystając z dobrego usposobienia ogółu, wprowadzą myśl w życie, zgromadzą potrzebne środki i potrafią gorączkę pierwszej chwili korzystnie dla projektu wyeksploatować— to po niejakim czasie, okazuje się, iż to co w zawiązku świetną zapowiadało przyszłość, zostaje stopniowo zaniedbywanem — opuszczanem i albo upada zupełnie, albo też wlecze egzystencyą mizerną, i idzie w całem znaczeniu tego wyrazu kulawo.

Powiecie, że to nieprawda, że zdanie które wygłaszamy jest pessymistycznem, i że w rzeczywistości tak się nie dzieje? Porzućmy zatem ogólniki i przejdźmy do faktów. Weźmy przed się przykłady, przykłady z bardzo niedawno minionej przeszłości, które każdy wiedzący co się w kraju dzieje pamięta zapewne bardzo dobrze.

O tych projektach, które pogrzebano jako projekty nie ma co mówić — może wreszcie dla nich przyjdzie jeszcze kiedy godzina zmartwychwstania—ale przypomnijmy sobie te projekty, które weszły w czyn, przypomnijmy sobie jakie miały poparcie z początku — a jakie mają obecnie.

Kto z was nie pamięta pierwszych chwil instytucyi osad rolnych i przytułków rzemieślniczych. Z jakim ogromnym zapałem popierano ten pożyteczny zakład. Wskażcie choćby jedno większe miasto, w którem by nie było na ten cel odczytów, koncertów i składek? Zapisy na członków sypały się jak z rogu obfitości — zdawało się, że za rok zakład będzie otwartym i zacznie swoję działalność.— Tymczasem stało się inaczej.

Ogólne zajęcie się „osadami" zaczęło słabnąć. Kiedy przystąpiono do budowania w Studzieńcu domku dla nieletnich przestępców zwanego „Warszawa," i odezwano się do Warszawian o zapomogę — zbiór wcale nie był obfitym. — A iluż to jest członków Towarzystwa z tych właśnie, co się tak licznie w pierwszych chwilach zapisywali, którzy dzisiaj nie mogą się zdobyć na złożenie drobnej, sześć rubli rocznie wynoszącej składki?

Obojętność nasza w takich razach, wzrasta proporcyonalnie do kwadratów z czasu od chwili pierwszej gorączki ubiegłego.

To fakt, to pewnik.

A spółka jedwabnicza?

W pierwszych latach swego istnienia sadziła morwy, sprowadzała kokony, rozsyłała tysiące tysięcy jajeczek jedwabniczych, proboszczom, obywatelom wiejskim, wójtom gmin— prowadziła liczną korespondencyą, odbywała posiedzenia, drukowała roczniki, jednem słowem żyła i działała; potem wpadła w jakiś sen letargiczny z którego przebudziła ją zeszłoroczna wystawa rolnicza.

Przebudzona, przypomniała sobie, że istnieje, ale przypomniawszy sobie o tej istności przyszła do wniosku, że już dłużej istnieć nie może i chciała dać za wygraną, rozwiązać się,

a jedwabnictwo krajowe złożyć do archiwum projektów.

Ta błoga myśl nie powiodła się wprawdzie ponieważ spotkała pewien żywioł opozycyjny—który jakkolwiek dotychczas nic jeszcze dobrego nie zrobił, ale nie zezwolił przynajmniej na rozwiązanie spółki, co już ma pewne znaczenie. Wprawdzie i opozycya z początku była gorętsza, obecnie już cokolwiek stygnie... ale zawsze przynajmniej cokolwiek zrobiła.

Jeszcze jako jeden z licznych przykładów naszego niedbalstwa, można przytoczyć stowarzyszenie spożywcze „Merkury,“ które w chwilach założenia swego cieszyło się ogólną sympatyą i poparciem, a dzisiaj nie jest w stanie zgromadzić na posiedzenie roczne kilkunastu członków...

Podobnie urzędnicy banków i instytucyi przemysłowych prywatnych, narobili niedawno ogromnie dużo wrzawy, celem urządzenia stowarzyszenia emerytalnego —projektowano to i owo, mówiono o tem bardzo dużo, ustanowiono nawet wysokość składek, obmyślano lokacyą dla mających się uformować kapitałów, jednem słowem zrobiono wszystko w słowach. Całe dwa tygodnie o tem mówiono — no i naturalnie według chwalebnego naszego zwyczaju zapomniano. Co się dzieje dzisiaj z tym projektem nie wiadomo — ale to wiadomo każdemu, iż gdyby mówiono chłodniej i mniej, a wzięto się do rzeczy jak należy, toby dotychczas niejedna setka rubli znajdowała się w kasie niedoszłego stowarzyszenia.

W tych przykładach, któreśmy tutaj zacytowali, a które zdarzają się częściej niż często, widzimy jasno, jak stopniowo zapał nasz przechodzi w obojętność a następnie w zupełne prawie zaniedbanie. Widzimy jak przez to najpiękniejsze myśli marnieją i nie idą na pożytek — jak zamiary i przedsięwzięcia warte poparcia, i to poparcia ciągłego, upadają—jak wreszcie interesy naszej małej społeczności, idą opieszale i nie tak jak być powinno.

Czy potrzeba mówić, ile na tem tracimy? Czy trzeba dowodzić, jak to niekorzystnem jest dla naszego ogółu? Rzecz sama przedstawia się tak jasno że wszelkie dowodzenia byłyby zupełnie zbytecznemi.

Zresztą nie jesteśmy odgrodzeni od reszty świata murem chińskim, wiemy bardzo dobrze co się dzieje u naszych sąsiadów. Widzimy ich dobrobyt, wzrost przemysłu, rozwój handlu. Mamy o tem nawet dotykalne pojęcie, ponieważ płacimy im wcale niemałe podatki, a płacimy im je jako karę, za to, że nie jesteśmy w niczem wytrwali, że nie potrafimy nic doprowadzić do skutku, że umiemy bardzo pięknie mówić, a nie umiemy, a raczej nie chcemy robić.

Wada lekkości, która się przebija we wszystkich naszych usiłowaniach zbiorowych, jest wadą naszą powszechną; nic dziwnego, że się objawia nazewnątrz, w sprawach ogólnych, ponieważ tą wadą dotknięte są jednostki. Pojedynczym indywiduom brak wytrwałości w powziętem raz postanowieniu.

Nie przesądzimy chyba, że ona jest najbardziej u nas upowszechniona, podlega jej prawie każdy, tak się wkorzeniła w charakter, tak się zrosła z naszą egzystencyą.

Wobec tej dowiedzionej prawdy pedagogicznej, iż w dziecięciu wyrabia się charakter i usposobienie człowieka rodzice pod tym względem szczególniejsze winni dawać na dzieci baczenie. Od najmłodszych lat powinni w nie wpajać ową tak potrzebną w życiu wytrwałość, powinni przyzwyczajać je do stawiania czoła przeciwnościom; nie zrażania się pierwszemi trudnościami. Z tą wytrwałością niemniej łatwiej będzie dziecku w życiu; z tą mocą charakteru będzie ono kiedyś dobrym pożytecznym członkiem społeczeństwa. Doświadczenie i to doświadczenie przykre i bolesne częstokroć powinnoby nas uleczyć z tej lekkości którą się odznaczamy. Życie tak społeczne, jako też i pojedynczych indywiduów tak nas chłoszcze za to, tak dotkliwie karze—my jednak na te razy jesteśmy obojętni.

Wartoby już otrząsnąć się z tego, warto zapatrywać się poważniej, trzeba wreszcie wybrać drogę pośrednią — ochłodzić zwykłą gorączkę uniesień pierwszej chwili—ogrzać zaś późniejszą obojętność i apatyą, z którą ten sam przedmiot traktujemy.

Nie być dziećmi, co poigrawszy z zabawką rzucają ją w kąt i zapominają o niej — ale ludźmi, co wziąwszy sobie jakiś cel dążą do niego krokiem pewnym i równym, chociażby powolnym... być ludźmi, którzy czują w sobie siłę, energię i wolę, nie szarpią się i nie opuszczają rąk potem, ale pracują z wytrwałością i przekonaniem, że pracę swoję wykończą.

Wtenczas przedsiębierczość nasza będzie chwalebną—wtenczas nikt nie będzie śmiał powiedzieć o nas tego, co dzisiaj słusznie powiada.

Wprawdzie społeczeństwa nie przeradzają się w godzinie, wady ogólne nie szybko dają się usuwać — przeobrażenie podobne, bywa niekiedy dziełem pokoleń—niemniej jednak, faktem jest, iż każdy krok w tym celu zrobiony ważnym jest, gdyż i kropla ciągle spadająca skały przebija.

A czyż wady nasze mają być twardsze od skał?

Haliczanin-Ziewonia.

Z KSIĘGI WSPOMNIEŃ

K. Wład. Wójcickiego.

(Dalszy ciąg — patrz Nr. 1 i 2.)

II.

Zimowa podróż.

Z nad wybrzeży morza Baltyckiego wśród śnieżnej i mroźnej zimy 1832 roku, ujrzałem się na polnym stepie w Galicyi, podążając do bliskich krewnych mego przyjaciela Dominika Magnuszewskiego, znanego poety, który dał się już poznać w Warszawie oprócz drobniejszych poezyi komedyą wierszem: „*Stary Kawaler*.“ grywaną w teatrze Rozmaitości mieszczącym się w Gmachu Towarzystwa Dobroczynności na *Krakowskiem Przedmieściu*.

Dzień był jasny i pogodny chociaż mróz dobrze ściskał. Tęsknemi oczyma wyglądaliśmy, czy rychło ujrzimy wieś *Czortowiec*, w której mieliśmy po długiej i trudzącej podróży, znaleść gościnny spoczynek, Musiała już być tylko mila do niej, ale pomimo wybornej sanny i rzeźwych koni, które dobrze wyciągały kłusa, zaledwie dojechaliśmy we dwie godziny.

Duża ta wieś leżąca w głębokim parowie, dopiero nam się ukazała gdyśmy w same jej opłotki wjechali. Należała wówczas do dwóch rodzin Cywińskich i Raciborskich. Okolica cała jak zajrzałeś okiem, bezleśna—stepowa, równiny tylko, małe wzgórza, i głębokie jary, przy dworach jedynie ogrody z drzewami owocowemi, i we wsi trochę wierzb po drodze: dlatego też wszyscy opalają w piecach słomą, której dostatek wielki, bo ziemia urodzajna. Pod tym gościnnym dachem parę dni wygodnie odpoczęliśmy i ogrzali się przeziębli, ale nie tu dłużej mieliśmy zamieszkać. Jakoż na trzeci dzień, przybyli Raciborscy wujostwo Magnuszewskiego, i zabrali nas z sobą na dłuższe osiedliny. W Karecie na saniach pojechał ze swą bliską krewną autor: *Starego Kawalera*; ja w małych, otwartych saneczkach z Józefem Raciborskim b. kapitanem z pułku jazdy Rzyszczewskiego, najzacniejszym człowiekiem. Saneczki zaprzężone w dwa siwe *huculki*, rześkie i niezmęczone, poprzedzały karetę. Wkrótce rzekł do mnie;

U OGNISKA.

(Xy) Pójdźcie do mnie wszyscy, którzy macie organa ku słuchaniu a opowiem wam rzeczy jakie jeno w grubych starych foliałach są... Pojdźcie do mnie wszyscy właściciele fraków, okrawaceni i ulakierowani i wy o! różowe ofalbanowane i mnóstwem tarlatanowych obłoków spowite — a rzeknę wam co to karnawał jest, jakowy był i jakowym będzie... Albowiem dobrze jest żyjąc w czasie onej doby, zdać sobie z niej sprawę jak przystoi...

Tak tedy karnawałem nazywano—a wszystko to stoi czarno na białem w grubych, spełzłych foliałach—czas zabawami, krotochwilą i różnego rodzaju uciechą przepełniony od święta Kacpra, Melchiora i Baltazara aż do onego dnia, w którym na grzeszne głowy nasze sypać zwykł kościół popiołu moc. Później jednak gwoli niedopuszczania wielkiego rozpasania się *plebsu* i panów także—ograniczono karnawał od 8—10 dni, jeszcze później na dni trzy. I wtedy to już szaleństwo było nad szaleństwy! Lud wszelki nurzał się w zabawie do syta żegnając się z uciechą i mięsem (carne vale) we wtorek popielcowy.... Nasycano wtedy żołądki obficie, albowiem nadchodził czas srogiego czterdziesto-dniowego postu. Uciechy te wielkie przypominały Bachanalie i Luperkalie dawnych, jakoteż obchody Juel'owe północnych ludów. W wiekach średnich w czasie karnawału myślano najwięcej o biesiadach i pijatyce. Gięły się stoły pod wszelkiego rodzaju mięsiwem a z roztruchanów piętrzyły się góry... Możnym i ubogim, musiało wonczas być raźno i wesoło.

Nawet duchownym osobom bulla papieska pozwalała używać bachanalii i to o dwa dni wcześniej jak pospólstwu... Wonczas progi domów ubierano gałęzią wszelaką, a kto za owe progi wszedł, musiał mieć gałąź także, czyli wiązankę dla obdzielania bliźnich. Jak piszą w księgach miało to jeszcze dziać się i za Thyrsusa starożytnych i u naszych Sławian długo przedtem było. Po ulicach wszech i na forum miasta niewiasty przechodzące zaczepiano, pląsano z niemi rozkosznie i smagano je nawet a wszystko to dla niezmiernej uciechy! I zwyczaj taki długo trwał... Potem znowu w krajach gdzie lutrowa panowała wiara, poczęto w maski kryć twarz i zwykłe swoje szaty zamieniać na inne tak jak to i poganie mieli kiedyś w użytku. W tych tedy niemieckich ziemiach do niniejszego dnia zabawa taka trwa, ludek płynie falą w dziwaczne przybrany szaty i śmieje się i wyzywa, podnosi krzyk wielki i pląsa noc całą przy pochodniach a we dnie przy świetle słonecznem. Pochodów wtedy krotofilnych było mnóstwo, wstępowano na mównicę i prawiono wszem wobec—wstyd powiedzieć—błazeństwa, na wspomnienie których dziś i męskie zrumieniłoby się lice! Ano

— Patrz! tu granica, zaczyna się prawdziwe *Pokucie*.

Podniosłem głowę, i z podziwieniem ujrzałem w oddali dziwnie uroczy krajobraz. Tło jego stanowiły góry, w kilku rzędach piętrzące się nad sobą—a wierzchołki ostatnich łączyły się z chmurami, poniżej rozscielała się nie przejrzana okiem równina, a na niej bliżej gór, wsie i dwory w pobliżu siebie stojące. Białe dymy wznoszące się prostemi słupami zwiastowały pogodę.

— Widzisz na prawo, tę najwyższą górę? To *Czorna—hora*, gniazdo sławnego wodza opryszków *Dobosza*.

Zniesłychanem zajęciem wlepiłem oczy w tę stronę, bo mi się postać tego opryszka przypominała z powieści E. Brodzkiego czytanej w *Haliczaninie*. Gniótł mnie natłok myśli: — w grubej jesieni odbyta ta wycieczka na Baltyckie morze—straszna burza, której przerażający obraz wyrył się we wspomnieniach moich niestartemi zgłoskami, — pierwsze w życiu *Boże-Narodzenie* bez *wigilii*, opłatka i oblicza ukochanych istot—a teraz widok *Czarnej-góry*, i sławnej rzeki *Prutu*, której niebieskie wody, lód pokrywał, szczególne uczucia w duszy mojej obudziły.

Smutnie spuściłem głowę, tonąc w marzeniach i zadumie, kiedy nagle pan kapitan, uderzając mnie po przyjacielsku w ramię i puszczając gęsty kłęb dymu z krótkiej fajeczki którą ćmił ciągle zawołał:

— No! orzeźwiej się przecie: patrz już dojeżdżamy do domu—ot na prawo to nasze *Załucze*, a szose prowadzi do *Kołomyi* starego naszego miasta, boć przecie znasz przysłowie:

„*Francuz z Kołomyi*.“

Domownicy wybiegli ze dworu na nasze przybycie—tu znaleźliśmy z Magnuszewskim przytulisko jakby w gronie rodzinnem.

Dwór w Załuczu, stał na wzgórku niemiał ogrodu, albowiem wylew gwałtowny Prutu w 1831, zmusił właściciela, z wybrzeża tej rzeki uchodzić, która w miejscu pysznego ogrodu, i zabudowań gospodarskich, nurt swój bystry roztoczyła. Część tylko z tego ogrodu pozostała, świadcząc o jego obszarze i piękności.

Zaledwie odetchnęliśmy swobodnie, gdy przed gankiem zadzwoniły sanki i zapowiedziano nam przybycie dwóch panów *Dzierzkowskich* braci stryjecznych.

Michał starszy wiekiem i żeniaty, dziedzic pobliskiej i graniczącej z Załuczem wsi *Zamulińce*, i młodszy *Józef Dzierzkowski*, następnie jeden z pierwszych powieściopisarzy obrazów społecznych w Galicyi.

Michał, średniego wzrostu, ale dobrej tuszy, był to oryginał szczególny w swoim rodzaju. Wychowany pieszczotliwie przez matkę swoję, którą tytułowano *panią Starościną*, dlatego, że kiedyś wieś ta należała do starostwa *Śniatyńskiego*, bał się wziąć strzelby do ręki jak ognia, na jej widok, odsuwał się trwożliwie na stronę, i zalecał drżącym głosem ostrożność: nigdy konno nie jeździł, bo *mama* się obawiała aby synek spadłszy z siodła na szwank niebył narażony. Głowa, na tej krępej postaci odznaczała się oczyma wypukłemi, które czy zamykał powiekami we śnie nie wiem, albowiem zacięty gracz w wista, z niezmrużonem okiem grał przytomnie i dobrze do poranka przez noc całą, i chwalił się, że przedrzemał się dostatecznie.

Brat jego *Józef*, odróżniał się wielce od niego. Wysokiego wzrostu, ale przy tem nadzwyczajnej otyłości, która w potworność przechodziła! Nieznałem równie otyłego człowieka, w moiem życiu. Dowiedziałem się później, że to cecha rodu *Dzierzkowskich*. Stryj jego także Józef, słynny adwokat i mąż uczony, przyjaciel Stanisława Kostki Potockiego, dziedzica Willanowa pod Warszawą, Ministra Oświecenia publicznego i Wyznań Religijnych w Królestwie Polskim, a przyjaciel od serca, wiele drogocennych pamiątek miał sobie podarowanych, przez Potockiego, jak naprzykład widziałem rękopis własnoręczny Kościuszki o kampanii 1792 r., zbliżony do znakomitych mężów XVIII i naszego stulecia, jeszcze był otylszym od młodego Józefa. Fotele musiano większe niż zwykle robić, ażeby w nich nieugrzązł, i drzwiczki od wielkiej karety zastosowywano do jego objętości.

Józef jako syn rodzonego jego brata, był u pana adwokata na wychowaniu, ale że ten był surowym człowiekiem i niewyrozumiałym dla młodego wieku niewzbudził w nim ani miłości ani wdzięcznego wspomnienia. U niego też pracował w kancelaryi Aloizy Żółkowski słynny później komik i redaktor *Momusa*, który tajemnie uciekł, i podziękowawszy za opiekę stał się prędko ozdobą sceny Teatru Narodowego w Warszawie.

Jeżeli młody gość olbrzymią tuszą swoją wywołał nasze podziwienie, po bliższem poznaniu, zjednał sobie nietylko przychylność ale i szczerą przyjaźń; oblicze i spojrzenie szczególniej miał sympatyczne. Twarz kobiecej białości, na policzkach żywy rumieniec: oczy niebieskie, habrowe, były pełne blasku, życia, włosy blod jasne. Jakkolwiek dla otyłości był nieco ociężały, w ruchach zachował pełną swobodę. Jako oficer odznaczył się i miał krzyż srebrny *Virtute militari*.

W rozmowie nadzwyczaj był miły, a mówił gładko i płynnie; posiadał gruntownie język francuski i niemiecki i inne nie były mu obce. Dużo czytał, wiele pamiętał, ale nic nie pisał jeszcze, i nieprobował swego pióra, którém się następnie dobił tak wielkiego rozgłosu.

Nad-Prucie, które zamieszkaliśmy z Magnuszewskim, miało piękny wówczas poczet obywateli zacnych, którzy się odznaczali przy nas zdrobniałych Mazurach olbrzymim wzrostem. Rodzina *Podlewskich* szczególniej tu rej wodziła: dzieci świeżo urodzone, wyglądały jak roczniaki w innych dworach. Podobnie rosła była rodzina *Milewskich*, a jeden z synów Barona *Hejdla*, chociaż ojciec był niskiego wzrostu, postawą wyniosłą jak i pięknem obliczem żywo przypominał Króla Jana Sobieskiego w młodych latach. Przypisać to należy, wychowaniu wiejskiemu na świeżem górskiem powietrzu i zahartowaniu od kołyski. Kobiety wogóle były niskiego wzrostu.

Po mroźnej zimie i śnieżnej, prędko nadeszła wiosna: stajały lody, słońce ciepłe zagrzało, ziemia się zielenią zamaiła. Teraz dopiero zachwycająca i urocza okolica *Nad-Prucia* wcałym blasku zajaśniała, gdy niebieskie wody *Prutu* zaszumiały, a lasy na górach rozzieleniły. Nieznam piękniejszego krajobrazu nad ten, który się przed memi oczyma roztaczał.

W całej dolinie ponad rzeką gęsto się dwory i wioski rozsiadły: tak że pieszo, na dłuższym dniu letnim można było parę odwiedzin zrobić, zagrać po trzy robry w wista i wcześnie do domu powrócić.

W tych dworach przechowało się mnóstwo tradycyi domowych, i z nich dopiero zmiarkowałem, że E. Brodzki najfałszywiej przedstawił w *Haliczaninie* (Tom 2-gi *Opryszki w Karpatach*) *Dobosza*, jednego najgłośniejszych dowódców opryszków, których do szczętu, pomimo surowego prawa i natychmiastowej a doraźnej kary, niezdołano do owej chwili wytępić. Żył on, nie w XVII, jak w powiastce podano, ale w XVIII stuleciu, i jego imię szczególnym zbiegiem wypadków połączyło się z głośnym *poetą serca* Franciszkiem Karpińskim. Ojciec bowiem jego uprzedzony o napadzie opryszków, ujechał z dworu, ale kazał gościnnie przyjąć *Dobosza*, który tem ujęty, gdy w tej właśnie chwili urodził się *Franciszek* łupież powstrzymywał, odwiedził chorą matkę, i prosił ażeby jego imię syn nowo narodzony na chrzcie otrzymał. Wystraszona pani Karpińska przyrzekła to temu ban-

---

tak było w Mnichowie, w Düsseldorfie, w Kolonii, Moguncyi i w grodach innych. Francuzik też nie żałował czasu i worka — w to mu graj! Tam kwitła intryga... Wszakeć to żywioł każdej margrabiny i markiza, prawić jedwabne słówka, co to niby żart, niby prawda a niby obelga... Wszak ci to oni mistrzami w wachlarzowych rozmówkach, w szeptach buduarowych i w różnych kabałach.

Mniej żywo bawił się Hiszpan; dumnemu hidalgo nie przypadała do smaku ta bezmierna swawola.... Ale za to Włoch hulał w dyabelskim iście sposobie.... Ktoby tam potrafił opisać tę całą arlekinadę — zje licha wpierw każdy, nim słynny karnawał wenecki opowie.... No i w Rzymie także niczego! Kto żyw puszczał się w wir! Słyszeliśmy przecież wszyscy o różnych, różnych awanturach, o tych historyach szalonych nocy... co to się tam działo pod osłoną maski... Hej, hej... wiele to skrzyżowało się szpad, ile zabrzęczało sztyletów, ile westchnień zginęło w gwarze, ile wyciśnięto pocałunków.... Włoch narzucił płaszcz, uzbroił się żelazem i dalej w tłum, za nadobną signorą, nie pytając jak to tam będzie czy w ciasnym zaułku nie spotka go zręcznie jaki nasłany bravo, lub też czy gondolą nie przejedzie się do innego świata....

Lub u nas *illo tempore*—te kuligi, te maskarady, te przebierania się, te komedyje! W pałacu i chacie aż miło.... Hulaj dusza!

A dziś żal się Panie popatrzyć na wybladłe franty, na te poziewające dzieweczki, co to ni do Boga ni do ludzi.... Lub te nasze bale, te zabawy, tożto wszystko mało co warte.... A chyba to *kar nawał* a nie *karnawał!* Gdy tak dalej pójdzie to prócz faworków i pączków żadnego śladu po starym zwyczaju nie zostanie....

Poeta woła:

Rzeczywistość się po mału,
W świat przemienia ideału....

Źle jednak woła, my byśmy bowiem zawołali tak:

W rzeczywistość się pomału,
Świat przemienia ideału!

Pora jednak wrócić z zamierzchłych czasów do naszej chwili.... Więc karnawał! Rozpoczęto bawić się w kółkach rodzinnych i na balach publicznych. Mieliśmy nawet trzy maskarady, z których ostatnia jak zwykle była najliczniejszą.... Zebrało się nawet sporo masek, barwnych kostiumów było nawet poddostatkiem, zbrakło tylko—dowcipu.... Gdzie też ów, nasz, dawny dowcip? Uleciał zda się bezpowrotnie, kilku jeno tuła się dziś konceptowiczów, którzy więcej patrzą na czczych krytyków aniżeli na prawdziwych satyryków... Resursy otworzyły swe podwoje nielicznym dotąd parom....

Życie całe kupi się przeważnie około teatru.... Po „Nietoperzach“ nader gorąco przyjmowanych, będących czas jakiś jedynym przedmiotem konwersacyi w mieście, garnie się publiczność na „Naszych najserdeczniejszych“ Sardou.... Mam do tego pana maleńką pre-

dycie, ale później dziecię otrzymało imię Franciszka.

W graniczącej wsi z Załuczem, żywe zostało podanie w pamięci, o morderstwie, które Dobosz na właścicielu jej dokonał: później w *Cyrkule Stryjskim*, w wielu miejscowościach znajdowałem liczne o nim wspomnienia, które do nich przyrosły.

Z braci literatów w całej okolicy nie znalazłem żadnego, szukać ich trzeba było we Lwowie, gdzie głównie stale przesiadywali, albo też na chwilowy pobyt przybywali.

Na początku czerwca 1832 r. gdyśmy szli do ogrodu teraz oddalonego od dworu z panem kapitanem, ujrzałem jak wbród rzekę konno i pieszo przebywali Huculy. Wylew bowiem wiosenny *Prutu* już się przelał, a tak była płytka woda, iż nie sięgała ani do kolan nawet, tak zaś przejrzysta, że mogłeś na jej korycie każdy kamyk porachować.

— Przypatrz się, mówił do mnie Raciborski, temu dzielnemu ludowi, który niecierpi żytniego chleba ani pszennego, a brzydzi się wołowem mięsem.

— A czemże się żywi? zapytałem.

— Kukurydzą, i baraniną. Z kukurydzy piecze chleb, ma *mamalygę* (naszę *prażuchę*), je ją pieczoną lub gotowaną. Silny to lud i krzepki, ale strasznie do rozboju skłonny. Dotychczas z opryszkami mają władze niemało do roboty, i dlatego w górach zobaczysz *czardaki*, czyli strażnice, aby na każde ich pojawienie się, zaraz oddziały wojskowe w tych *czardakach* osadzone, pospieszały na pomoc. Przy każdej takiej strażnicy stoi słup wysoki, okręcony słomą polaną smołą, którą zapalają na hasło trwogi.

— Miałem ekonoma przed parą laty, który wracając od granicy węgierskiej, na wąskiej ścieżce wiodącej pomiędzy dwoma skałami, spotkał się z opryszkiem. Stał on na wieszchołku jednej i krzyknął z wymierzoną strzelbą, ażeby w miejscu stanął: ale ten, mający nieco grosiwa w trzosie, niewiele się namyślał, nacisnął stępaka, i pomknął z kopyta. Padł zaraz strzał dobrze wycelowany, dwie loftki dostał w plecy, przeleżał z tydzień zanim mu je wydobyto i wydobrzał, ale nie dał się obedrzeć, a miał tę przyjemność, że w miesiąc później przy obławie, schwycił tegoż samego opryszka i był świadkiem jego kaźni. Był to młody Hucuł, nie mający jak lat dwadzieścia kilka: szedł tak obojętnie na szubienicę jakby do karczmy na ulubioną *śliwowicę*, fajeczki nawet swojej nie wypuścił z ust do ostatniej chwili.

Słuchając opowiadania kapitana, przyglądałem się ciekawie przeciągającym drogą Huculom i Hucułkom, którzy tędy konno i pieszo ciągnęli do *Kołomyi* o milę od Załucza odległej. Lud to po większej części średniego wzrostu, zsiadły i krępy, czerstwy i silnie zbudowany: trudno między niemi znaleść blondyna, wszystko bruneci, z czarnemi oczyma, płeć śniada, włosy lśniące jak pióra u kruka. Pomiędzy kobietami, niewidziałem pięknych chociaż prawdziwie uroczego wdzięku spotkałem góralki *podhalanki*, od *Babiej Góry* i *Krywania* lub w okolicach *Zakopanego*.

Jak postacią, tak i ubiorem i sposobem życia różnią się wielce Huculy od górali po polsku mówiących. *Bundę* noszą ciemniejszej barwy od *guni* podhalana, a spodnie ceglastego lub czerwonego koloru, albo też jasno niebieskiego: *kurpie* na nogach, lubo i buty noszą. Kapelusz okrągły z dużemi skrzydłami albo w zimie barania czapka. Powierzchu koszuli przewieszają torbę skórzaną suto guzikami świecącemi nabijaną. Pas szeroki równie ozdobny ściska im biodra.

Hucułki noszą spódnicę i sukmanki tejże barwy, a głowę przystrajają tak zwaną *peremitką*. Jest to szeroki płat na dłoń białego płótna, który czoło osłania. Przystrój ten, niektórym twarzom dziewek i *mołodyc*, dodawał wdzięku i powabu.

Później gdym przebywał te góry pieszo, idąc do Bukowiny, poznałem tych górali bliżej, dlatego też kiedy Józef Korzeniowski nadesłał mi *Akt pierwszy* swoich *Górali Karpackich*, byłem nim zachwycony. Trzeba zdarzenia, że we wsi *Żabie* bawiłem dwa dni; tu właśnie umieścił ten dramat Korzeniowski.

Kiedym go odczytywał, zdało mi się, że znowu wśród tych gór jestem, oddycham balsamiczną wonią, ożywczego powietrza, słyszę szum świerków, i poświstującą wichurę z płynącą chmurą na jej skrzydłach, to beczenie owiec, to odgłosy *sopilki* i raźne *kołomyjki*.

Korzeniowski wątek do tego dramatu, w którym wiele scen Szekspirowskiego zakroju wziął z życia właśnie Huculów, a taki *Antoś Rewizorczuk*, jak mi sam opowiadał, był jego przewodnikiem gdy jechał do *Burkutu*. Stąd też tyle życia, tyle prawdy poetycznej w *Karpackich Góralach!*.

Mam to głębokie przekonanie, że prawdziwa krytyka dramat ten, jak i *Andrzeja Batorego* policzy jako arcydzieła w naszej literaturze dramatycznej, które imię Korzeniowskiego przeniosą w najdalsze pokolenia.

O pożywności kukurydzy z własnego doświadczenia nabrałem przekonania, gdy w wędrówce pieszej przez osady Huculów do *Bukowiny* przez trzy dni, tylko się nią żywiłem, bo i baraniny na razie niebyło, a głód wybornie zaspakajałem i czułem się syty i krzepki.

Lubo zamiłowania do literatury ani śladu niezobaczyłeś, po licznych dworach szlachty znajdowały się nieraz rzadkości bibliograficzne. Za to jakież życie wesołe i przyjemne.

(*D. c. n.*)

DO MATKI.

O matko! gdy twe dziecię głodne jeść zawoła,
Daj mu chleba czarnego i krynicznej wody;
Ucz je, niech wcześnie pozna życia niewygody,
Aby zniosło je później, nie zmarszczywszy czoła.

* *

Gdy dziecię twoje igra z drugiemi wśród sioła,
Ucz je, jak ma ukochać braci zastęp młody,
Nauczaj je, miłości i pracy i zgody,
I prowadź je w tę stronę, gdzie jest wiejska [szkoła...

* *

A kiedy twe pacholę zmężnieje i wzrośnie,
Ucz je, jako ma ująć wielki ciężar pługa,
Niech wychodzi na rolę, śpiewając radośnie...

* *

O! matko, w duszę dziecka rzucaj siew o wio- [śnie,
A piękny plon przyniesie twoja praca długa,
Gdyż w dobrem życiu syna, jest matki zasługa.

Klemens Szaniawski.

ETAPY SUCHOTNICZE.

Listy z podróży Kazimierza Z.

(rok 1867 do 1869).

(List II.—Dokończenie).

Od Insbruku do Botzen, kolej żelazna przechodzi ciągle przez pasma Alp tyrolskich, a głównie tunelami przez dwie najwyższe góry, wielki i mały Brener. Jestto droga wspaniała i kto wie czy nie piękniejsza od semeny. Rokujemy więc jej słuszne powodzenie.

---

tensyą i gdybym się z nim kiedykolwiek spotkał na tej drodze życia nieomieszkałbym mu jej objawić..... Otóż żal mi szczerze autora „Benoitonów" i „Safandułów," że się jął „Ragabasa"—no, a także i osławionej „Andrei." Nie myślę was treścią ostatniej rumienić a wspominam o niej tylko dlatego aby ostrzedz naszę reżyseryą przed farsy tej wystawieniem. Spieszymy się zwykle z p. Wiktorynem chciejmy więc na ten ostatni z jego płodów nie zważać.... Sukces gubi nieraz talenty, stara to i wielka prawda, na potwierdzenie, której nie brakłoby nam dowodów.....

Prócz teatru, szukaliśmy wrażeń na koncercie Mikołaja Rubinstejna mistrza co się zowie. Mniej wybrednym wystarczał p. Calderazzi, przejeżdzający sztukmistrz dobywający tonów z próżnych, czy też pełnych kieliszków.... Górą sztuka!

Zanotować nam także przychodzi, iż hr. Stanisław Kossakowski, otworzył znowu swoje salony dla literatów i artystów. Może się tu rozpalić prawdziwe ognisko, którego promienie rozgrzać powinny skrzepłą drużynę...

Przy zabawie nie zapominamy także o nauce dla młodszej braci. Prelegenci wezwani przez p. Makowieckiego, co niedziela i święto pouczają w sposób popularny rzemieślników, i w ogóle ludzi ciężkiej pracy... wykładali już pp. Makowiecki, Głowacki i Hipolit Wójcicki.

Na polu przemysłu i handlu ruch ciągły... W tych dnich właśnie zawiązała się spółka warszawskiego przedsiębierstwa budowlanego. Wchodzą do niej pp. Orłowski, radca budowniczy, obejmujący główny kierunek robót technicznych, Witkowski właściciel cegelni, Sporny, Pietschman i Leitgeber ze spółki robót asfaltowych, oraz Polizenius i Simler znani majstrowie stolarscy. Zadaniem spółki będzie podejmowanie budowy nowych domów lub przebudowanie starych budynków. Spółka daje wszelkie gwarancye, składa się bowiem z ludzi pracy, kapitału i charakteru. Zakres jej działalności szeroki i prawdziwie pożyteczny. Rokujemy więc jej słuszne powodzenie.

W literaturze jakoś cicho—Dziennikarstwo zmęczyło się także prospektami i zmianą formy wydawnictw. Jako rzecz mającą niezwykłe obecnie powodzenie podnieść musimy wspaniałe opowiadanie p. t. „Sama jedna" publikowane w *Gazecie Polskiej*. Brylant to najczystszej wody, którego nieomieszkamy bliżej określić za pojawieniem się w handlu księgarskim.

Niestrudzony w pomysłach p. Kaufman wydał pierwszy numer *Świata Muzykalnego*. Trudno jeszcze orzec coś stanowczego o tem wydawnictwie...

Na zakończenie gawędy dodajemy, iż Włosi śpiewają jeszcze z różnem powodzeniem. Dziwna, iż zabłąkać się tam miała rodaczka nasza z włoskim pseudonimem... Powiadają, iż ma nią być p. Aglaja Orgeni, z którą krytyka tutejsza nie dość grzecznie się obeszła...

ryngskiej (z Wiednia do Tryestu). Pociąg co chwila zmienia położenie—raz u podnóża góry, za kilka minut na jej szczycie, to znów w olbrzymim tunelu, aby przebywszy go wjechać w uroczą dolinę ze strumieniem szemrzącym w środku—lub groźnie huczącym wodospadem u góry. Rzeczywiście romantyczna ta jazda, tyle przedstawia uroku, że kilkogodzinna droga dla przywykłego nawet do wspaniałych krajobrazów podróżnika, zakrótką się wydaje. Jeszczeby się chciało patrzeć a już konduktor woła: Botzen, transport do Meranu wysiada, bo z tego miasta najbliżej do naszego drugiego etapu. Botzen (Bolzano) liczy się właściwie do włoskiego Tyrolu, choć swoje pochodzenie przypomina głównie nieczystością i bazarem w arkady na sposób włoski budowanym.

Zresztą nie ma tu nic ciekawego do widzenia, wyjąwszy może parafialnego kościołka, zabytku z XIV wieku. A przepraszam —jest do widzenia pokój w hotelu, gdzie miał kiedyś rezydować Pius VI i gdzie na tę pamiątkę jest nawet w murze umieszczona tablica marmurowa. Delateau uparł się nawet nocować w tym pamiątkowym pokoju i ta przyjemność kosztowała go kilka guldenów drożej—no, ale mógł powiedzieć, że spał w pokoju papieskim. Na drugi dzień rano wybraliśmy się na pocztę, a o 11-ej w landarze pocztowej —jechaliśmy do miejsca przeznaczenia. A teraz, niech mi będzie wolno wystąpić z apostrofą do ludzi złej woli—czarnych dusz i czarnych charakterów, którzy w przystępie zawiści czarne miotają obelgi na szosę radomską, karetkę lubelską i dyliżans sochaczeski. Ludzie—zawołam do nich—ludzie małego serca i płytkiego umysłu, jak śmiecie bezcześcić wspaniałe komunikacye krajowe i pyszne instrumenta przewozu z takim pożytkiem dla kieszeni pocztalterów od pół wieku przez nas używane—kiedy przedstawiciele trzech oświeconych narodów—bo Polak, Francuz i Bulgar (vel Grek, zawsze znak zapytania) w kraju Cesarsko-Austryackim jechali do miejsca kuracyjnego, odwiedzanego przez tysiące chorych a zatem potrzebujących wygody w kojcu nazwanym sztelwagą z wytłuczonemi szybami, po tak trzęsącej szosie, że wobec niej szosa lubelska jest jazdą po stole — a radomska jak wylana asfaltem. Kto wybił zęby na Lubelskiej szosie—lub okaleczonym został na radomskiej — ten oceni z tego porównania szosę z Botzen do Meranu. Dodam tylko, że w pierwszym kwadransie podróży starałem się liczyć ile razy Mortopulos zaklnie w ośmiu językach, których nie posiadał, a Delateau przytnie sobie, skutkiem trzęsienia, nigdy niespoczywający język, ale musiałem następnie dać za wygraną, najprzód z powodu niezmiernie wysokiej cyfry do jakiej dochodziły obserwowane przezemnie fenomeny a dalej z powodu zajęcia siniakami coraz częściej objawiającemi się na grzesznem ciele mojem. Po czterech godzinach, niby nowe Regulusy, zbici na miazgę, znaleźliśmy się nareszcie w Meranie, na wpół, żywy wysiadłem jednak jakoś z torturowego pudła, Delateau wytoczył się a Mortopulosa wyniesiono. Rozumie się, że ten ostatni chciał obić na wstępie konduktora i pocztalterа.

Po odpoczynku całonocnym, wypraliwiliśmy się na oglądanie miasta — wyszukanie doktorów i mieszkań, gdyż nie chcieliśmy pozostać w hotelu Pocztowym—jako przypominającym nazwaniem swojem, nazbyt *bolesne* chwile podróży.

Miasteczko Meran zbudowane jest w dolinie u stóp gór, które jednak z dwóch tylko stron chronią je od wiatru, bo od północy i zachodu—to też wiatry szczególniej wschodnie bardzo dotkliwie chorym uczuć się tu dają, już w początkach października, zaś jeszcze w początkach września panują upały nie do zniesienia. Główną zaletą Meranu, jako miejsca kuracyjnego, są winogrona jakim równych w całej Europie znaleść nie można i świeże figi także chorym na kuracyą zalecane. Porcye kuracyjne co do chorób rozdzielają się rozmaicie—astmatycy zjadają ich najwięcej, suchotnicy najmniej. Najniższa doza jest zwykle funt austryacki (około 1 i pół naszego) najwyższa dla astmetyków dochodzi do 12 funtów. Strach pomyśleć, nieprawdaż?

Z Meranu również wychodzą transporta owych sławnych jabłek tyrolskich, za takie słone ceny u nas sprzedawanych — nic też dziwnego, że głównem zajęciem mieszkańców jest ogrodnictwo, jako podstawa ich dobrobytu. A mieszkańcy to ciekawi w istocie do studyowania—lud idealny, który bodaj że nie ma równego sobie w Europie i jak powiedziałem wyżej, zachowany w tym stanie i usposobieniu w jakim był kilka wieków temu. Któż nie zna narodowego ubrania tyrolczyków—kurtka i szarawary sukienne opięte, kamizele kolorowe, trzewiki lub ciżmy z klamrami, pończochy do kolan obnażonych zimą czy latem i kapelusz spiczasty z piórami dla mężczyzn. Krótka sukienka, zwykle również sukienna z wyszyciami i gorset z szamerowaniem dla kobiet i ten sam kapelusz spiczasty—oto strój, który nie zmienia się nigdy, tylko w święta jest nowy i okazalszy. Stroju tego Tyrolczycy nie pozbywają się a wdziewają go od najmłodszych lat dziecinnych. Katolicy fanatyczni, Tyrolczycy kochają się w uroczystościach kościelnych, — bicie w dzwony całodzienne, strzelanie z dubeltówek a często i z moździeży jest na porządku dziennym w zwyczajną nawet niedzielę. Zresztą lud to cichy, skromny, uczciwy i usłużny, gościnny bardzo, a w życiu domowem zgodny i moralny nad wszelki wyraz. Jedyną innowacyą jaka się tu zakorzeniła od końca zeszłego wieku, jest palenie tytoniu—ale też przyjęli ją Tyrolczycy con-amore, tak, że palą tytoń najmłodsze chłopcy, co nawet przedstawia dość komiczny widok, gdy fajka często jest prawie tak wielka jak palący. Niewłaściwem by było dla podróżującego suchotnika, robienie studyów etnograficznych—więc ograniczę się tylko jeszcze wzmianką o wysokiej muzykalności Tyrolczyków. Rzeczywiście, dar to zadziwiający. Każdy prawie tutejszy mieszkaniec gra lub śpiewa—gra na gitarze, na instrumencie z drzewa lub słomy, który sam sobie zmajstruje, wreszcie na skrzypcach, flecie lub kobzie — ale każdy gra i śpiewa dobrze, tak, że z przyjemnością słuchać go można, a na gitarze lub cytrze można nawet spotkać artystów nieposrednich. A teraz wracam do miejscowości. Meran tedy leży sobie nad jakąś rzeką, a raczej rzeka przecina główną dla chorych promenadę; stąd dosyć burzliwie biegnąc po kamienistym gruncie z drugiej strony miasta wpada do Adygi—najdalszego zwykle punktu wycieczek pieszych dla chorych. Promenada dzieli się na dwie części — zachodnią letnią (Sommer Anlage) i wschodnią a właściwie południowo-wschodnią z drugiej strony rzeki (Winter Anlage). Nazwy te mają zastosowanie praktyczne, gdyż rozumie się słońce mniej ogrzewa stronę letnią a więcej zimową. Po jednej tedy lub po drugiej stronie stosownie, czy to jesień czy już zima, zbiera się grono kuracyuszów, każdy z koszyczkiem pod pachą i przy dźwięku muzyki zajadają winodajne jagody. Praca taka trwa od 10-tej do 1-ej rano i od 3-ej do 8-ej popołudniu: resztę czasu spędza się na pensyi zwykle bardzo przyzwoicie utrzymywanej i wcale niedrogiej w towarzystwie kollegów w chorobie. Niektóre z tych pensyi urządzone są z wielkim komfortem (np. za moich czasów Weinhard i Hansperta) a jednak cena mieszkania złożonego z dwóch pokojów t. j. saloniku i sypialni z całkowitem utrzymaniem i usługą nie przenosi dziennie 3 i pół guldena. Przyznajcie czytelnicy, że trudno znaleść oberżystów mniej wymagających — nie robiąc już bynajmniej przymówek naszym krajowym. Dodać należy, że za te pieniądze jest się żywionym jak książe, a obsłużonym jak król.

To też gdyby nie dzwony Merańskie—oj te dzwony! plaga prawdziwa a specyalne utrapienie nieszczęśliwego Mortopulosa. Rano o świcie dzwonią, w południe dzwonią, po obiedzie dzwonią, wieczorem dzwonią, tak że człowiekowi w końcu się zdaje, że sam się zamienił w serce od dzwonu, cóż zatem dziwnego, że w takiem położeniu rzeczy mój biedny przyjaciel czuł niepowściągnioną ochotę uderzyć w którego z tubylców protektorów dzwonienia, aby sprobować czy i to uderzenie huczącego nie wyda dźwięku. Gdyby nie to, że poczciwy doktór Toppejner (Panie! daj mu niebo, albowiem mało znałem uczciwszych sług Eskulapa) zadecydował, że nasza trójka po miesiącu przebytym w Meranie ma dalej ruszyć na południe, zdaje mi się, że Mortopulos dostałby bzika na dobre, Delateau zerwałby płuca od krzyku — a moje biedne bębenki uszne pewnoby tego charmidru nie przetrzymały. To też doktór Toppejner był sławiony po francusku, po polsku i ośmioma językami Mortopulosa podczas pakowania manatek i jestto jedyny z zagranicznych lekarzy, o którym wszyscy trzej najlepsze zachowaliśmy wspomnienie. W połowie października rozwinęliśmy żagle sterując pod włoskie niebo, inaczej mówiąc językiem prozy—zapakowaliśmy się w sztelwagę z powrotem do Botzen, by stamtąd koleją przejechać do krainy sztuki i marzeń, co już do następnego pozostawiam listu. (*D. c. n.*)

Korespondencya „Ogniska Domowego."

Wieś **Iwankowce** na Ukrainie

w Styczniu 1875 r.

Jako kolędę noworoczną, przesyłamy do Redakcyi „Ogniska" wiązkę sprawozdawczych notat, uzbieranych na społecznej niwie zabużańskiego świata. Kraj to przestronny, piękny i bogaty, zatem i listowna gawęda o nim, nie może być bez pewnego dla czytającej publiki naszej interesu. Jeżeli dawniej, za patryarchalnych jeszcze Wołynia, Podola i Ukrainy czasów, ekonomiści i statystyczni sprawozdawcy mieli tu już obszerne pole do głębszych obserwacyi, to o ileż dzisiaj, z uwłaszczeniem włościan oraz zaprowadzeniem wiążącej Bałtyk z Czarnem morzem sieci kolei żelaznych, pole to stało się przestronniejszem i w niezbędne dla podobnych prac materyały obfitszem. Kto przez lat kilka nie zwiedzał okolic położonych nad brzegami Horynia, Dniepru i Boha, ten ze zdumieniem — jak ja obecnie—spostrzega wielkie w nich przemiany. I tak przedewszystkiem dziwimy się bardzo, że się nie spotyka już tu prawie nigdzie, ani na wpół dzikiego, pogrążonego w ubóstwie i ciemności chłopa, ani zacofanego i nieoglądającego się na jutro szlachcica obywatela. Porządnie odziany i nakarmiony kmiotek, posyła dzieci na naukę do szkółki wiejskiej, zapobiegliwie się krząta około uprawy swego kawałka ziemi, dobija się całą siłą o pieniężny w fabrykach lub na dominialnej robociźnie zarobek i często bardzo z uciułanego grosza kupuje większe w bliższych lub dalszych stronach gruntowe posiadłości; obywatel ziemski,

wyćwiczony w szkole prób życiowych i doświadczeń kapryśnej fortuny niemniej od chłopka zaprawia swych synów do pracy gospodarczej, sam się mozoli bez znużenia w szrankach rolniczego fachu, i w braku możności rozszerzenia ziemskiego majątku, na niwie przemysłu i handlu powiększa codziennie swoje finansowe zasoby. Prawda, że na Wołyniu, gdzie z jednej strony i cukrownictwo nie jest tak szeroko rozwinięte i pszeniczne łany mniej urodzajne, a z drugiej przesądy kastyczne najgłębiej były śród szlachty zakorzenione—zarówno chłopi jak panowie daleko wolniej kroczą po drodze opartego na pracy zarobku i równości społecznej postępu, za to Podole i Ukraina—wśród nieocenionych skarbów pszennej i burakowej gleby, oraz zamieszkałych przez mniej butną szlachtę dworów, całe prawie idą za duchem czasu i cechują się bytem pożądanym tak w wyższej jak w niższej warstwie społecznej.

Jednym z najgłówniejszych motorów podobnego postępu tutaj jak i wszędzie indziej, są koleje żelazne. Trzy najżyźniejsze gubernie Cesarstwa, za pomocą pięciu kolejowych linij związane zostały z pryncypalnemi rynkami Europy. Kolej kijowsko-brzeska złączyła je z Warszawą i Królewcem; wołoczyska i radziwiłłowska z Krakowem i Wiedniem; odeska—z portami Czarnego i Śródziemnego morza. Stacye kolei w Koziatynie i Zmierzynce są kulminacyjnemi całego tego kraju punktami, gdyż przez nie się wyłącznie, jako skrzyżowanie linii odeskiej, kijowskiej i wołoczyskiej, przewala ogromny zbożowy południowego pasa transport. Przed niedawnymi jeszcze laty Berdyczów uważano za centrum podobnej sprzedaży, i bez pośrednictwa tamtejszych kupców, żadna wówczas operacya finansowa nie mogła się dopełnić. Dziś rzecz się ta ma wcale inaczej; obywatele trzech gubernii albo sami wysyłają zagranicę zboże z najbliższych od majątków swych stacyi, albo biorąc odpowiednie pieniężne zaliczenia, powierzają je różnym rozrzuconym w kraju i po za krajem domom komisowym oraz ich agenturom. Główniejsze zaliczkowo-komisowe domy, którym się tutaj powierzają podobne interesy, są: *Mańkowskich* w Odesie, *Banku Galicyjskiego* w Krakowie, *Zaleskiego*, *Feinberga* i *Toeplitza* w Królewcu. Oprócz tych firm bankiersko-komisowych, niektóre składy narzędzi rolniczych w sposób dodatkowy zajmują się również i ekspedycyą zboża. Do ważniejszych w kraju składów maszyn rolniczych zaliczają teraz: *Mencla* (doskonała fabryka i dépôt) w Białej-Cerkwi, *Kamińskiego* i *spółki* w Berdyczowie, *Ramsona* w Winnicy, *Modzelewskiego* w Proskurowie, *Simsona* i *Gedu* w Odesie.

Tyle o stronie ekonomicznej pszennego kraju, a teraz powiedzmy kilka słów dorywczych, o intelektualnej i towarzyskiej. Przed laty, młodzież obywatelska trzech gubernii pod względem obyczajowo-naukowego kierunku, dzieliła się po większej części na dwie kategorye: na zamiłowanych w marnotrawstwie i życiu bez jutra symplaków umysłowych, oraz na kształcących się powierzchownie w różnych krajowych i zagranicznych wszechnicach dyletantów inteligencyi, ludzi skąd inąd porządnego życia i cichego obyczaju.

Dzisiaj po jednych i drugich zostały tylko przelotne wspomnienia. Lekkomyślne niedouczki, potraciwszy majątki, z całym taborem podobnych sobie satelitów znikli gdzieś bez wieści; dyletanci zaś umysłowi, zamknięci w nadrujnowanych inercyą gospodarczą ojcowskich wioskach, pędzą resztki życia w kłopotach i odosobnieniu. Tych i tamtych zastąpiła nowa generacya—młodzież kształcąca się fachowo i praktycznie. Synowie obywatelscy wysyłani teraz bywają najczęściej do wyższych zakładów rolniczych lub technicznych zagranicą, a po ukończeniu tam właściwych kursów, albo się poświęcają postępowej na wsi gospodarce, starając się wiązać ją szczęśliwie ze studyowaniem nauk przyrodniczych i z przemysłem, albo—mniej zamożni—zostają dobijającymi się karyery technikami, przy fabrykach miejscowych lub przy kolejowej inżynieryi. W masie są zapewne dotąd jeszcze dość liczne wyjątki, ale te tak widoczną przedstawiają mniejszość, że ogólna charakterystyka kraju nic na tem pod względem dodatnim nie traci. Płeć żeńska tutaj mniej szczęśliwe od męskiej na drodze postępu zdobywa korzyści. Duch źle zrozumianej emancypacyi targa wciąż jeszcze chorobliwie umysł i serce niewieście. Jak w zaczarowanem kole, wiele z pań i panien, mianowicie na Ukrainie i w znaczniejszych miastach trzech gubernij, szamoce się, i dobija natarczywie o prawa, których nikt im nie zaprzeczał, oraz o przyznanie kwalifikacyi, z ręki Opatrzności mężczyznom tylko wyłącznie dotąd wydzielanych. Najmniej widocznie—tak w męskim jak kobiecym świecie—objawia się tu postęp na niwie życia towarzyskiego. Teraz jak dawniej, hierarhiczne, nadstawiania się ludzi bogatszych wobec uboższych, panów wobec szlachty, obywateli ziemskich wobec ludzi z miasta, jest zawsze śmieszne i rażące. Codzienne przykłady upadku fortun szlacheckich, ciągła degrengolada wielkich imion, herbowych i majątkowych potęg, nie mogą jeszcze wytrzeźwić dawnego nałogu *pawiego pusze-nia się*, czczenia nie talentu, nauki, pracy, dobrego wychowania i zacnych tradycyi rodzinnych—a tylko blichtru znikomej jak fosforyczne ognie hierarchicznej wyższości.

Edward Chłopicki.

Znakomici mężowie i kobiety
W POLSCE
od X-go do XII-go wieku.

szkicował

ERNEST ŚWIEŻAWSKI.

(Dalszy ciąg)

V. DAGON albo PALNA TOKI.

Gdy młodociana Oda zawierała śluby z blisko pięćdziesięcioletnim Mieszkiem—urodził się on 930 roku—; można było przewidzieć, że żona, nie mąż będzie większy mieć wpływ na sprawy państwa, i że odpowiednio urządzą się stosunki rodzinne. Przyjście na świat trzech synów: Mieszka, Lamberta i Świętopełka utrwalając węzły Ody i Mieszka-Lamberta rozluźniły koniecznie stosunek ostatniego do synów z Dąbrówki: Bolesława-Magnusa i Władyboja, i to z dwu powodów. Najprzód dzieci drugiej żony, jak i ona sama milszemi być musiały od synów pierwszej, bo tak się zawsze dzieje. Następnie do gniewu na Odę za to umniejszenie się miłości ojcowskiej przybył żal, w sercu synów Dąbrówki, że dziedzictwo Pastów, zwykłym trybem, mając pójść w działy m'ędzy wszech synów panującego, za sprawą dzieci Ody, znacznie się zmiejszyło.

Nareszcie macocha, zamiast z trupem Mieszka-Lamberta na stosie pogrzebowem zgorzeć, pomyślała o nowych ślubach, które jej i jej dzieciom zjednały groźnego dla pasierbów opiekuna. Wybranym jej serca został niejaki Dagon.

Nazwisko to spostrzegamy na pewnym akcie wydanym między 992—996 rokiem z tytułem: „sędzi" obok imienia Ody „senatorki" to jest wdowy po członku cesarstwa rzymsko-niemieckiego, i „synów obojga" Mieszka i Lamberta. Gdy ci dwaj ostatni byli prawdziwymi synami Mieszka-Lamberta tylko adopcya, tylko stosunek ich jako pasierbów do Dagona może wytłómaczyć szczególniejszy ten tytuł synów Dagona i Ody dany im w owym akcie. W liczbie spółczesnych Odzie dostojników, jeden tylko zdaje się Tako, albo Hako syn Palny, zwany inaczej Palnatoki, może pretendować do zaszczytu bycia drugim jej mężem.

Niektóre źródła czynią go synem ziem słowiańskich, a mianowicie krainy nadodrzańskiej, u samych ujść Odry położonej, gdzie wznosiła się twierdza korsarska: Jomsburg, zwana też Jumna, Wineta. Wedle innych podań pochodził on z krwi skandynawskiej, i już koło roku 983 znajdujemy go w charakterze prawodawcy owej osady korsarskiej. Ten to Palnatoki postanowił, że nikt niemoże być przyjętym w poczet jomskich wikingów czyli korsarzy, kto niedoszedł lat 18, lub przeżył lat 50, jako też nikt, kogoby zalecało świetne pochodzenie lub związki krwi z korsarzami, lecz sam wymaganiom prawa zadość nieczynił. Dalej śmierć towarzysza wkładała na wikingów obowiązek pomsty jakby za brata, honor zaś wojskowy niedozwalał się cofać przed przeciwnikiem jednakowo uzbrojonym, lub zdradzać słowem, znakiem lub czynem bojaźń hańbiącą korsarza, choćby i w największem niebezpieczeństwie. Łupy wspólnie zdobyte, a na pieniądz ocenić się dające, mają być przyniesione do twierdzy, i tu być podzielone między całe bractwo, z którego się wyłącza człpremek, przechowujący dla siebie część zdobyczy. Żadnemu wikingowi dłużej nad trzy dni nie wolno twierdzy opuszczać, a co najważniejsza stopa niewieścia niepowinna nigdy przekroczyć jej progów. Pozbawić może korsarzy jej piękność, spokoju, i choć wszelkie spory, a nawet o ojco lub brato-bójstwo towarzysza, rozstrzygał sam Palnatoki, nie podjął się jednak koić waśni o serce kobiety toczonych.

Z racyi tego to prawodawstwa, które przywróciło opustoszałemu chwilowo Jomsburgowi dawną świetność i chwałę rycerską, nadano Dagonowi w owym akcie tytuł: „sędzego." Gdyby wierzyć podaniom, nietylko te ustawy rozgłośnem uczyniły imię Dagona czyli Takona, syna Palny. Harald Blaatand (ząb niebieski), duński założyciel Jomsburga, za młodu bałwochwalca, na starość gorliwy chrześcijanin, popadł w krwawy spór ze swym synem Swenem, który ujął się za prześladowanem przez ojca pogaństwem. Ze Swenem, połą czył się Palnatoki, słynny łucznik, oburzony, jak opowiada Sakso-Gramatyk, srogiemi próbami, na jakie jego zręczność wystawiał Harald. Raz kazał mu z głowy rodzonego syna, zbić strzałą jabłko. Drugi raz spuścić się musiał Palnatoki na rozkaz Blaatanda ze stromej skały na łyżwach. Obruszony Dagon do współki z Swenem rozpoczęli wojnę z Blaatandem, który w niej pokonany, schronił się do Jomsburga, gdzie go wspomniony wiking strzałą zranić miał, i o śmierć przyprawić (985 r.)—Jomsburg podową porę był pusty, bo dotychczasowi jego mieszkańcy straszną klęskę byli ponieśli w wojnie swego naczelnika Sygwaldiego z norwegskim królikiem Hakonem koło 980 r., i bądź w niej poginęli, bądź już do swej twierdzy nadodrzańskiej niewrócili. Przyszło więc na nowo Palnatokiemu tworzyć drużynę morskich rozbójników. Niewiele go to trudu kosztowało, bo Wendowie czyli Słowianie, już od wieków radzi byli łupiestwu. Już rzymski historyk Tacyt uważał, że szczep ten zaraził się obyczajami włóczęgów sarmackich, bo, ile tylko gór i lasów znajduje się między Peucynami u Karpat najwschodniejszych żyjącemi,

a Finnami, którzy nad fińską zatoką, morzem białem i t. d. krążą—we wszystkich pełno Słowian, za rozbojem wzajemnym się uganiających. Prawie że w tym samym czasie, u dalekich ujść Renu, w Batawii, schwytano burzą aż tam zagnane „handlowe statki” Indów. Aleksander Humboldt miał tych Indów za brunatnych Indyan; Szafarzyk wykazał, że to są Wendowie to jest Słowianie, nieobjaśnił jednk, jaki to handel prowadzili ci Wendowie.

Po objaśnieniu, musimy się udać aż w czasy króla frankońskiego Dagoberta, kiedy Samo także tylko niby „w widokach handlowych“, jak owi morscy Wendowie, zabrał „wielu kupców“ i..... *kupił* sobie orężem około 627 r. olbrzymie państwo w Czechach i Morawii. Takimi kupcami byli później Normandowie, którzy łupami naładowawszy swe statki, jechali je gdzieindziej sprzedać, a jeśli się uda, zamienić swe „morskie królestwo” z nawy korsarskiej złożone, na jakieś państwo lądowe. Normandya francuska, Amalfi włoskie, późniejsze cesarstwo łacińskie w Carogrodzie i państwa greckie, królestwo jerozolimskie: oto pojedyncze objawy tych wypraw już uświęconych pod koniec ideą krucyatową.

I Słowianie nie musieli być obcymi tym wyprawom, bo w piątem stuleciu Lutycy wraz z Anglo-Sasami najechali wyspy Albionu, i ślad o sobie zostawili w nazwie „Wilt — shire” a już w dziewiątym wieku zwano Normandów: „Słowianami północnymi.” Widząc mianowicie kronikarze, że Skandynawią na północ Baltyku, i ziemie słowiańskie na jego południe zamieszkuje lud zarówno korsarstwem się trudniący, uważali że tu i tam są Normandowie, tu i tam są Słowianie. Co do obyczajów, niewiele się mylili; a nawet i co do pochodzenia niebyli w błędzie. W Jomsburgu bowiem przebywali Normandzi (od 936 do 966), a już 940 „sokole gniazdo Wendów” to jest korsarską osadę słowian zburzył Hakon król norwegski w Skanii, gdy na brzegach południowej Norwegii roztaczająca się odnoga morska nosi miano słowiańskie „Jadra,” Na lądzie stałym „szatry” to jest szałasy i „sioła” się wznosiły, jako ślad trwalszego tu pobytu mieszkańców południowych brzegów Baltyku.

(*d. c. n.*)

OD KOLEBKI—DO SZKOŁY

według wskazówek Froebla

PRZEZ

BERTĘ MEYER.

(Dalszy ciąg).

ROZDZIAŁ II.

Wychowanie fizyczne.

Tyle rozmaitych przesądów przechowuje się między osobami pielęgnującemi nowonarodzone dzieci, że nie możemy ich zbyć milczeniem. Nie będziemy tu szeroko rozwodzić się nad niemi; wszyscy je znają—lekarze głośno przeciw nim protestują—a jednak zwyczaj silnie wkorzeniony zawsze ma liczny poczet hołdowników, szczególniej między kobietami.

Przytoczymy tu słowa pewnej młodej matki, opowiadającej wszystkie ważniejsze wypadki swego życia.—Kiedym wyszła za mąż, i w rok potem urodziła mi się dziewczynka, byłam najzupełniej nieświadomą jak z dziećmi małemi postępować należy, nigdy w życiu nie trzymałam dziecka na ręku, i nikt przez źle zrozumianą skromność, nie raczył mnie oświecić w tej mierze. Otóż odwiedzające mnie krewne i przyjaciółki, radziły mi dużo, oglądały ciekawie dziecko, i przyczyniały się tylko do zwiększenia mego niepokoju. Jedna widząc że noszę dziecko w poduszce, zapytała mnie:

— Jakto, nosisz dziecko, nie radzę ci używać tego sposobu, z czasem stanie się to dla ciebie i niańki ciężarem, gdyż dziecko, przyzwyczajone do ciągłego ruchu, inaczej się nie da uspokoić!

Druga przyjaciółka zastała dziecko w kolebce, i z oburzeniem uznała temperaturę pokoju, przechodzącą 16 stopni Réaumura, zachłodną:

— Jak możesz tak zaziębiać te małą istotę, potrzeba zmienić pościel, i obłożyć dziecko poduszkami! Mówiąc to, nakrywała dziecko pierzynkami i wkładała gorące flaszki. Nazajutrz odwiedziły mnie dwie inne ciotki, i każda dała mi wiele rad i nauk. Lecz co dziwna, żadna z tych czterech pań nie zgadzała się z drugą—każda dawała odmienne rady i potępiała metodę trzech innych. Nie wiedziałam co począć, aż przybycie domowego lekarza, wyprowadziło mnie z kłopotu, opowiedziałam mu o odwiedzinach czterech ciotek, potępił wszystkie zachwalone przez nie metody, upominając, bym nigdy rad kobiecych nie słuchała, a ściśle się trzymała dzieła Hufelanda pod tytułem „Dobre rady dla matek“ — lub też przedziwnego dziełka doktora von Ammon: „Pierwsze obowiązki matki przy pielęgnowaniu dzieci.“ Książki te będą dostateczne do dobrego i praktycznego pielęgnowania niemowląt, a młodą matkę oświecą w każdej trudniejszej kwestyi hygienicznej. Oprócz tego szanowny staruszek podał mi z własnego doświadczenia dużo zdrowych rad, któremi miło mi jest podzielić się też z memi czytelniczkami. Najprzód co do ciągłego noszenia niemowlęcia w poduszce, to raz na zawsze zabronił mi tego. Dziecko nowonarodzone, ma zmysły zbyt przytępione, żeby miało pojmować i uważać na wszystko co je otacza. Potrzeba mu spokoju, dobrego pożywienia i czystości; przy zachowaniu tych dwu ostatnich warunków należy je zostawiać spokojnie w łóżeczku, nie nosić, nie śpiewać mu, a jeżeli się do tego przyzwyczai, od pierwszego dnia swego istnienia, będzie zawsze spokojne i wesołe i tem milsze dla wszystkich otaczających je osób, iż nikomu natrętnem się nie stanie.

Ubiór dziecka powinien być, od pierwszego dnia jego życia, zastosowany do pory roku. Koszulka miękka i kaftanik pikowy latem, a barchanowy zimą, dostatecznie zabezpieczy jego delikatne członki od zaziębienia. Powijaków nigdy używać nie należy. Dziecko z natury dążące do swobody ruchów, z niechęcią daje się krępować i płacze gdy je do poduszki wkładają. Otóż zdaniem mego lekarza było, abym zlekka owinąwszy dziecko w ciepłe pieluszki, nie krępowała mu wcale rączek i nóżek, ale włożywszy w poduszkę, zostawiła mu dosyć miejsca na swobodne ruchy członków.

Z pożywieniem dziecka, należy się ściśle pilnować godzin; karmienie ciągłe, jest szkodliwem tak dla matki jak i dla dziecka, najlepiej w początkach karmić dziecię co trzy godziny we dnie, a w nocy dwa razy.

Sen nocny, jest najpotrzebniejszym, do utrzymania sił, i zdrowia, barbarzyństwem też jest przerywać go; nasze panie, szczególniej starsze, dotychczas trwają w przekonaniu, że krzyk dziecka oznacza potrzebę jedzenia. Wynoszą je z łóżeczka, budzą ze snu, dają pić i tym sposobem psują mu żołądek, który słabszy i delikatniejszy niż u ludzi dorosłych, daleko więcej czasu potrzebuje na trawienie. Prawda ta jest tak prostą i łatwą do pojęcia, że dziwić się należy, dlaczego dotychczas w użycie nie weszła.

Z początku biorą te czcigodne panie za wymówkę, że największa cichość jest niezbędnym warunkiem do zdrowia matki i dziecka, i dlatego nie pozwalają niemowlęciu krzyczeć, kiedy przeciwnie płuca jego tylko krzykiem się rozwijają. Obok tego dziecko wszystkie swoje potrzeby krzykiem wyraża—jest że więc rozsądnie, bez miary je poić w celu zaspokojenia kiedy to samo, daleko prędzej uskutecznić by się dało daniem mu kilku kropli wody, lub zmianą bielizny.

Dziecko zanadto wiele ssąc, nie jest wstanie utrzymać całego pokarmu w żołądku, stąd tak często wyrzuca go nazad; niańki się cieszą z tego, utrzymując, że tym jedynie sposobem, dziecię tłuścieje i sił nabiera. Hufeland inaczej to tłómaczy; uważa on podobne zrzucenie pokarmu, za dowód przeładowania żołądka, które nigdy zdrowem być nie może.

Czystość największa jest też jednym z najgłówniejszych warunków do zdrowia dziecka; kąpiele codzienne utrzymują jego ciało w świeżości, bronią od krost, i innych wyrzutów. Tu znowu, popełniają niańki i mamki błąd, parząc dzieci w gorącej wodzie. W pierwszych dniach życia 26 stopni Réaumura wystarczy, w przeciągu sześciu tygodni, stopniowo zniżyć ją można do 20 stopni. Dziecko zaś trzymiesięczne, powinno być kąpane w wodzie letniej dwa razy na tydzień, a codzień wycierane wodą zimną; macza się gąbka w wodzie, która przez noc całą stała w ciepłym pokoju, i obmywa się nią naprzód plecy, krzyż, nóżki, brzuszek dziecka i prędko wyciera flanelą. Takie każdodzienne wytarcie, wzmacnia nerwy, hartuje dziecię i wpływa korzystnie na cały jego organizm.

Jednę uwagę chcielibyśmy jeszcze zrobić, a to co do sposobu karmienia niemowląt. Jeżeli pokarm matki okaże się złym, najpraktyczniej i najzdrowiej jest poić dziecko mlekiem krowiem zmieszanem z wodą. Flaszka powinna mieć pokrycie gutaperkowe, nakładające się z łatwością na szyjkę — dziecko bez najmniejszej przykrości pije z niej, i prędko się nasyca; należy tylko uważać, żeby mieć dwie lub trzy zmiany, takich gutaperkowych mamek, gdyż po każdem ich użyciu, trzeba je trzymać w naczyniu z wodą świeżą dla ochrony od kwasu, łatwo się wewnątrz zakradającego.

W pierwszych dwóch miesiącach, najlepiej jest dziecko karmić samym tylko pokarmem matczynym, później można to na przemian robić, pojąc dziecię krowiem mlekiem z wodą, przyczem doktór powinien oznaczyć ilość wody domieszywanej do mleka; po pięciu miesiącach można dziecięciu dawać lekki rosół z cielęciny, jednak, aż do wyrznięcia się pierwszych sześciu zębów, nie należy karmić go gęstemi kaszkami lub bułką — gdyż podług zdania najsławniejszych lekarzy, żołądek jest jeszcze zanadto delikatny i łatwo może być rozdrażnionym. Wreszcie kończąc ten rozdział nie możemy przemilczeć o mamkach. W mieście są one potrzebniejsze niż na wsi, gdzie łatwiej o świeże dobre mleko. Z wyborem mamki należy radzić się lekarza i pilnie uważać na skutek jaki jej pokarm wywiera na dziecko. Żywić ją trzeba dostatecznie, ale pod żadnym warunkiem nie pieścić. Kobieta przyzwyczajona do pracy, powinna też jako mamka ten sam tryb życia prowadzić — większe wygody zepsują jej charakter, nauczą ją kaprysów i złości, a jej pokarm stanie się dla dziecka trucizną.

Jedno jeszcze, młode matki mam wam do zalecenia: nie pozwalajcie niańkom lub mamkom za każdym najmniejszym ruchem dziecka, wyjmować go z kolebki, i nosić po pokoju, lub

za każdem poruszeniem usteczek dawać mu pić. Powtarzam, że tylko regularne karmienie może być zdrowem, i najmniej między jednem i drugiem karmieniem, powinien być trzygodzinny przeciąg czasu. Pierwsze dni będą może trochę przykre, ale ten niepokój opłaci się zdrowiem, czerstwością i wesołością dziecięcia. Jan Paweł Richter tak się o tem wyraża:

„Wszystko pod słońcem raduje się—oprócz jednej trucizny. Wesołość dziecięcia jest niezbędnym warunkiem do jego zdrowia; posępność i tęsknota naprowadzają tylko na złe myśli i usposabiają do rozlicznych chorób“.

Jedna z najpiękniejszych legend średniowiecznych głosi: że Najświętsza Panna i poeta Tasso, dziećmi będąc nigdy nie płakali.

A teraz młode matki, kończę powtarzając wam słowa Froebla: „Pamiętajcie, że żyjecie dla waszych dziatek!“

PRZEZNACZENIA.

Sceny z życia amerykańskiego,

przez

Fryderyka Gersteker'a.

(Przekład z niemieckiego.)

(Dalszy ciąg).

Kwestya mieszkania prędko istotnie została załatwioną. Jedna jeszcze tylko sprawa niemiła pozostawała Jerzemu. Miał osobiście zawiadomić Hewesa o zamierzonym związku. Rzecz tę jednak wielce mu ułatwił sam Hewes. Z początku wprawdzie zdawał się trochę zdziwionym, później wszakże ucieszył się prawdziwie, gdyż i on znał dawniej rodziców Alicyi i nie mógł nie widzieć, jakiego losu doznawała w jego domu biedna sierota. Pochwycił rękę młodzieńca i rzekł życzliwie:

— Mr. Halay — ja — nie mogę panu powiedzieć, jak bardzo mnie boli ów wypadek, jaki pana spotkał na okręcie — zdaje się wszakże, że wszystko było dla dobra pańskiego. Nic nie stoi na przeszkodzie ślubowi pańskiemu — sam będę świadkiem przy tym obrzędzie, kasa zaś moja jest do dyspozycyi pańskiej. Mam właśnie znaczną wypłatę uskutecznić w Nowym-Jorku — weksel pański uprości mi takową znakomicie. — A propos, czy wie już o tem moja żona?

— Lady, — rzekł Jerzy, a krew napłynęła mu przytem do głowy — właśnie weszła do pokoju Miss Morhouse, kiedym prosił o jej rękę.

— W samej rzeczy?

— Powiedziałem jej naturalnie, co mnie tam sprowadziło.

— Hm? — czy odpowiedziała co? Ja — od owego czasu jej nie widziałem.

— Prawie mi powinszowała — więcej nic.

Mr. Hewes kiwnął głową. — Więc żona jego wiedziała o tem, a on zawiadamiać jej nie miał już potrzeby. Okoliczność ta zdawała się uspakajać go. Zresztą, nie miałby nawet okazyi mówienia o tem, gdyż Pani Hewes była cierpiącą w swoich pokojach i nie przyjmowała nikogo i nie przychodziła nawet do obiadu.

W mieście tymczasem żywy panował ruch, gdyż przybycie parowca z północy, każdemu coś przynosiło: listy, albo przynajmniej gazety i wieści z ojczyzny. Z powodu właśnie wielkiego zajęcia pana Hewes i niewidzialności pani, Alicya mogła najspokojniej, przy pomocy Jerzego i kilku służących, przeprowadzić skromne rzeczy swoje do pobliskiego mieszkania. Tego samego dnia jeszcze Jerzy umówił się co do ślubu z duchownym angielskim i oznaczył takowy na dzień, w którym parowiec miał wyruszyć z Valparaiso — godzinę czwartą po południu.

To załatwiwszy, Jerzy napisał wyczerpujący list do rodziców, nie zamyślał bowiem na tym samym parowcu wrócić do kraju, lecz chciał zabawić kilka tygodni razem z młodą swą żoną w Peru, albo raczej w Lima, potem zwiedzić Guajaquil, potem zaś, zatrzymawszy się jeszcze czas jakiś w Hawanie, w dalszą puścić się drogę.

W dzień ślubu biuro konsulatu było zamknięte, gdyż tak Mr. Hewes, jak i Burton przyjmowali udział w tej uroczystości, a młoda Amerykanka, u której w ostatnim czasie mieszkała Alicya, prowadziła narzeczoną. Na zapytanie młodej pary, czy wolno im przyjść pożegnać się z nią, pani Hewes, odpowiedziała przecząco. Lady prosiła o przebaczenie, podając za pretekst, że nie może wstać z łóżka.

O godzinie czwartej punktualnie, poczęto odwiązywać liny parowca. Dawno już był padł wystrzał armatni zwołujący pasażerów, a Hewes i Burton byli jeszcze na pokładzie i serdecznie się żegnali z młodą parą, gdy służący z domu konsula przecisnął się przez wszystkich i co tchu przybiegł do Burtona:

— Mr. Burton, — rzekł,—sennora Hewes kazała mi to oddać sennoricie Alicyi — nie wiem, gdzie jest ta dama.

Burton wziął od niego mały pakiecik. Był na nim napis:

Pani Alicyi Halay — proszę otworzyć po odejściu parowca.

— Od kogoż to, spytał młodzieniec zdziwiony.

— Od Sennory.

Burton potrząsnął głową, zlecenie jednak zbyt było wyraźne, by go niezrozumieć.— Oddał pakiecik młodej mężatce, która przyglądała mu się również ze zdziwieniem—ale nie było już czasu—właśnie danym był ostatni sygnał, żeby wszyscy nie należący do pasażerów ustąpili z pokładu. Potężne koła już się zaczęły poruszać. Jeszcze jeden uścisk dłoni, jeszcze jedno życzenie serdeczne—i skończyło się pożegnanie.—Zdala powiewały chustki—a w kilka chwil potem, po zatoce ku otwartemu morzu, sunął statek wspaniały z angielską flagą na przodzie. Na pokładzie stał Jerzy, trzymając za rękę młodą swą, lubą żonkę i z niewypowiedzianem uczuciem spoglądał znów na morze, z którego był zbiegł w rozpaczy przed kilku tygodniami—przed kilku dniami nieledwie.

— Mogęż teraz rozpieczętować pakiet, Jerzy?—spytała Alicya—boję się go.

— I dlaczegoż, serce?—zaśmiał się małżonek—otwórz go spokojnie—to ostatnie pożegnanie stamtąd.

Alicya złamała pieczątkę, i zdjęła papier podwójny. Zawierał małą prześlicznie odrobioną szkatułkę—i „O Jerzy!“ zawołała Alicya przestraszona, otworzywszy ją i spostrzegłszy w niej cudnej roboty naszyjnik dyamentowy—i to od pani Hewes?

Obok naszyjnika leżało jeszcze maleńk zawiniątko, które Jerzy wyjął i ze zdziwieniem spostrzegł na niem swe imię—otworzył je zwolna—znalazł tam pierścionek mały, wcale niepozorny, prawie żadnej wartości nie mający.

To szczególna!—rzekła Alicya, spoglądając na męża—czy podarowałeś jej kiedy ten pierścionek?—To nie do uwierzenia!

Jerzy miał pierścionek w ręku i przyglądał mu się w milczeniu—zaledwie słyszał pytanie młodej swojej żony. Nakoniec rzekł z cicha.

— Pierścionek ten Jenny pokazała mi kiedyś—był to ostatni podarunek, jaki dostała od nieboszczki matki swojej. Zapewniała mnie wtedy, że pierścionek ten, wartości kilku realów tylko, był najdroższym dla niej klejnotem—i że wolałaby oddać wszystko, aniżeli stracić niepozorną tę obrączkę.

— Więc ciebie jeszcze kocha,—powiedziała, trwożnie patrząc się na niego Alicya.

Jerzy zwolna potrząsnął głową.

— To przeszło,—szepnął, podając rękę ukochanej,,. Przysłała nam to na znak, żebyśmy więcej nie mieli żalu do niej—Alicyo!— na znak pojednania i miłości—z miłością też i bez żalu wspominać o niej będziemy na zawsze. *(d. n.)*

ROZMAITOŚCI.

Aresztewanie śpiewaczki.—We Lwowie została aresztowaną słynna śpiewaczka p. Wanda Bogdani-Kleczkowska; — wybierała się na koncert dawany w ratuszu przez komitet zbierający składkę na zakupienie dla Galicyi obrazu Matejki—gdy wszedł urzędnik policyjny z depeszą rozkazującą natychmiastowe aresztowanie jej i odstawienie pod strażą do Wiednia. Przyczyna aresztowania nie wiadoma do tej pory, chociaż powiadają, iż powodem tego wypadku są liczne długi, jakie panna Bogdani-Kleczkowska miała pozostawić u wiedeńskich modniarek.

W Odessie przy tamecznych nocnych przytułkach, mają być zakładane małe biblioteczki, przeważnie z książek dla ludu.

Znany **Archeolog włoski Rossi**, czyniąc poszukiwania w Bazylice św. Petroneli w Rzymie, odkrył wspaniałe malowidła alfresco, przedstawiające świętą w odwiedzinach u głośnej w owe czasy matrony Wenerandy.

Sukiennice, jeden z najstarszych zabytków architektonicznych w Krakowie, doczekał się nareszcie chwili, w której rozpoczęto radzić i myśleć nad jego odnowieniem; z wielu planów, poddanych pod rozpatrzenie Krakowskiemu Towarzystwu Sztuk Pięknych, zwrócił powszechną uwagę plan wykonany przez budowniczego Tomasza Prylińskiego. Plan ten, według którego najprawdopodobniej dokonaną będzie restauracya Sukiennic, łączy w sobie zachowanie starożytnego stylu bizantyńskiego, w którym ta budowla wzniesioną została, z urządzeniem odpowiadającem potrzebom obecnych czasów. Na górnem piętrze urządzoną będzie sala koncertowa, kawiarnia, czytelnia, restauracya—na dole będą się mieściły sklepy, do których wejście będzie ze wspaniałej hali, oświeconej trzydziestoma oknami i mogącej służyć za miejsce przechadzki—i z podcieni. Front zdobić mają posągi Bonara i Wierzynka, oraz portrety wykonane grafitem, przedstawiające znakomitszych mieszczan krakowskich. Obawiać się tylko należy czy wykonanie tego planu nie będzie za kosztownem. Sukiennice wzniesione zostały przez Bolesława Wstydliwego w roku 1275, a więc dziś mają 600 lat istnienia, warto zatem myśleć o podtrzymaniu tego starożytnego pomnika, który zdołał się oprzeć tylu burzom, jakich był niemym świadkiem.

W Krakowie wyszedł na widok publiczny pierwszy numer pisma p. t. **Szkice spółczesne i literackie.** Pismo to wychodzić ma 3 razy na miesiąc.

W Wiedniu otwartem zostało niedawno **kolegium dla dam,** chcących poświęcić się matematyce. Kolegium to liczy obecnie 200 słuchaczek, pomiędzy któremi najwięcej znajduje się córek i żon profesorów uniwersytetu, gimnazyów i innych zakładów naukowych. Wykłady odbywają się w sobotę i trwają od godziny 2—4 i od 5—7 po południu.

Prof. petersburgskiego uniwersytetu, Iwersen, wydaje **Zbiór portretów rodziny Radziwiłłów** których liczba 173 wynosi, zatytułowany *„Radziwilliana“*. Do każdego portretu dołączonym ma być krótki tekst w języku łacińskim, znajdujący się w dziele, którego jedyny egzemplarz przechowuje kijowska biblioteka. Powyższe dzieło będzie miało niezaprzeczoną wartość dla archeologów i malarzy.

Druk Burzyńskiego i Czerniejewskiego, Nowy-Świat Nr 57. — Дозволено Цензурою. — Redaktor i Wydawca, **Bronisław Przyrembel.**